

BLACHOWANIE 2026

Ośrodek Pod Kamiennikiem

W tym roku Blachowanie odbyło się po raz pierwszy w Beskidzie Makowskim, w jego wschodniej części, w ośrodku „Pod Kamiennikiem”. Może ze względu na łatwy dojazd impreza zgromadziła wyjątkowo liczne grono uczestników – ok. 140 osób, w tym również wyjątkowo liczne grono Harnasi – ok. 70 osób.

Ponieważ pogoda dopisała, przed imprezą wiele osób wybrało się na krótsze lub dłuższe spacer i wycieczki po okolicznych górach.

O godzinie 16.30 podano obiadokolację, a o 18.00 wyruszyliśmy do ogniska, gdzie jak co roku odbyła się uroczystość wręczenia blach. Mimo dość solidnej tegorocznej zimy ostatnie ocieplenie spowodowało, że znalezienie miejsca ze śniegiem nie było proste. Pewnie dlatego dojście do ogniska było dość wymagające zarówno dla blachowanych, jak i dla przewodników – zwłaszcza tych starszych (stażem oczywiście). Mimo to wszyscy włącznie z Kajetanem dotarli.

Wyjątkowo długa kolejka ustawiła się do składania gratulacji, które trwały niemal bez końca.

Po powrocie do ośrodka rozpoczęła się część artystyczna, prowadzona głównie przez Marysię i Łukasza, ale z udziałem pozostałych blachowanych.

Zobaczyliśmy m.in. wywiad z Arcyksięciem Cieszyńskim Maxem, przeprowadzony przez Księcia Breńskiego Jakuba.

Zobaczyliśmy też reklamy innowacyjnych produktów oraz usług, mogących odmienić oblicze turystyki, takich jak Pulpa Fix, czyli danie instant w 4 smakach, Centrum Poszukiwań Sprzętu działające 24 godz. na dobę 365 dni w roku pod hasłem „Ty zapominasz, my znajdujemy”, czy też aplikacja „Tłumacz trasy”, tłumacząca określenia „to już blisko” na godziny i przewyższenia.

Był też geograficzny konkurs typu Familiada między drużynami Zapracowanych i Madek.

Potem obejrzelśmy prezentację wszystkich blachowanych oraz reprezentantów młodszego kursu obecnych na Blachowaniu.

LATO 2025 – NIE TYLKO AUSTRIA CZ. 2

II SENGSENGBIRGE. Alpy ENNSTALSKIE

Na początku sierpnia wraz z Witkiem Wolnym (WuWu) i jego córką Anią wyjechaliśmy z Rybnika w Alpy. Ominęliśmy od północy Wiedeń, dojechaliśmy do miasta Steyr, gdzie łączą się dwie alpejskie rzeki: Enns (Aniza) i Steyr. Stamtąd było już blisko do miejscowości Molln. W określonym markecie odebraliśmy klucz do samoobsługowego schroniska Feichtauhütte, leżącego pod Hoher Nock (1963). To najwyższy szczyt pasma Sengsengebirge, a całość tworzy Nationalpark Kalkalpen.

Choć w Polsce i Czechach była piękna pogoda, na autostradzie koło Amstetten zaczęło padać. Deszcz nasilał się z każdą chwilą. By dodać sobie i innym otuchy, powiedziałem, że to złe miłe początki. Jak okazało się później, miałem rację. Zostawiliśmy auto w leżącym na odludziu Breitenau. Nadal śiało. Mogliśmy przebrać się w drewnianym budynku koło parkingu. Ponieważ nie byliśmy pewni, czy w samoobsługowym schronisku jest woda, zabraliśmy ze sobą spory jej zapas i prowiant na trzy dni. Z ciężkimi plecakami ruszyliśmy około 17.00 szutrową drogą w stronę schroniska. Po 30 minutach przestało padać. Zdjąłem kurtkę, jednak już po kilkunastu minutach założyłem ją ponownie. Deszcz nasilał się z każdą chwilą. Dalej szlak prowadził wąską ścieżką, stromo pod górę przez mokry las, jakieś rzeczki, śliskie skałki i wysokie trawy. Szybko przerobiłem słynne

powiedzenie Milimetra: „Wszak nie jest najgorzej” na „Wszak nie jest najlepiej”. Woda chlupała pod nogami, leciała z nieba, a ja zastanawiałem się, dlaczego mam jeszcze w plecaku 4,5 litra wody – Muszyny. Mijały godziny, a my ciągle szliśmy. O zmierzchu stanęliśmy nad oczkiem wodnym i wyjęliśmy czołówki. W ich świetle widzieliśmy raczej mgłę. Deszcz ustawał. Wreszcie doszliśmy do rozstajów szlaków. Na tabliczce napisano: Feichtauhütte 15 minut. Teraz schodziliśmy w dół. Wreszcie w oddali zobaczyliśmy światła w jakimś budynku. Po 5 minutach byliśmy we wnętrzu Feichtauhütte. Była godzina 21.45.



Hoher Nock i Seekopf.

W środku było ciepło, ogień palił się w piecu, kilkoro Czechów grzało się w kuchni. Jedna z dziewczyn zwracała się do nas po angielsku, potem po niemiecku. Wytłumaczyłem jej, że Słowianie rozmawiają ze sobą w swoich językach. Zostaliśmy poczęstowani ciepłą herbatą, wskazano nam miejsce, gdzie możemy suszyć rzeczy. Po chwili byliśmy sami w kuchni. Czesi poszli spać na pięterko. My po dłuższej chwili zrobiliśmy to samo. Z lubością wszedłem do ciepłego śpiworka.

Kiedy w nocy poszedłem do wychodka, oddalonego o 30 metrów od schroniska, zauważyłem księżyc na niebie i jasne chmurki. Nad ranem około 6.00 Czesi zaczęli wstawać, w kuchni pod nami zrobiło się gwarno. Wiedziony ciekawością, wstałem. Wolni, czyli Witek i Ania spali smacznie.

Był piękny, słoneczny poranek. Całkiem duże stado krów ustawiło się na hali przed schroniskiem

cd. str. 2

Dziesięciolecie działalności w Kole zaznaczyli natomiast Harnasie blachowani w 2016 roku oraz kierownictwo tamtego kursu – Goryl i Gonzo.

I wreszcie doczekaliśmy do tortów. Było ich aż 13, z czego 12 na słodko i jeden wytrawny. Wbrew zasłyszczanym przy stole z tortami plotkom, podobno nie miał on w sobie śledzia.

Prócz dziewięciu tortów od blachowanych i tortu od Rady były też torty od kierownictwa zakończonego kursu, od młodszego kursu oraz od blachowanych 10 lat temu.

A potem nastąpiły trwające długo w nocy pogaduchy, śpiewanie, a nawet tańce, w czym Redakcja już nie uczestniczyła, gdyż musiała wracać do domu.

Blachy w tym roku otrzymali:

452 – Jakub Krzempek
453 – Łukasz Przybyła
454 – Przemysław Tosza
455 – Katarzyna Sęk
456 – Marysia Samborska

457 – Adam Kocot
458 – Marcin Kawaler
459 – Robert Małyśa
460 – Zuzanna Biniek



Redakcja

i witało wszystkich wspaniałym koncertem dzwonek. W tyle, nieco w prawo, widniały wapienne ściany Sengengebirge: Seekopf i Hoher Nock. Mokre wspomnienia z wczorajszego dnia przysły w jednej chwili. Byłem szczęśliwy, że znowu jestem w sercu gór.

Po godzinie byliśmy sami w schronisku. Okazało się, że w kuchni było ujęcie wody. Jej wystrój przypominał chatki studenckie. Na zewnątrz, z boku budynku dało się umyć w zimnej wodzie. Przed schroniskiem zjedliśmy śniadanie, po czym zamknęliśmy je i ruszyliśmy w stronę Hoher Nock. Najpierw wchodziliśmy przez kosówkę na wysoki grzbiet, zachowując ostrożność na stromych i śliskich po deszczu skałkach. W dole pojawiły się zielono-niebieskie oczka dwóch ślicznych jezior Feichtauer Seen. Zakosami posuwaliśmy się do góry po stromej, północnej ścianie Sengengebirge. Kilka razy trzeba było posługiwać się czterema kończynami. Wreszcie weszliśmy na płaszczyznę grzbietową. Jak zwykle w wapiennych górach, strome ściany ustąpiły u góry miejsca bardziej płaskim terenom, z dziurami krasowymi. Po pół godzinie dalszego marszu stanęliśmy koło krzyża szczytowego. Spędziliśmy na Hoher Nock dwie godziny. Podziwialiśmy wspaniałe widoki na długi grzbiet Sengengebirge, na południu prezentowało się pasmo Totes Gebirge z najwyższym Grosser Priel (2515), bardziej na wschodzie Warscheneck (2388) i Grosser Pyhrgas (2244), a dalej Alpy Ennstalskie. W drodze powrotnej wszedłem jeszcze na szczyt Seekopf (1845), którego ściany były doskonale widoczne z naszego schroniska.

Około 17.00 jako pierwszy wróciłem do Feichtauhütte. Otworzyłem drzwi i rozpałem ogień w piecu. Gdy wyszedłem na zewnątrz, zauważyłem dwie postacie wylaniające się z lasu. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że to nie są moi przyjaciele. Dwaj wędrowcy uznali, że jestem zarządcą schroniska i zagadnęli mnie po niemiecku. Po krótkim dialogu zauważyłem grymas na twarzy jednego z nich, który, jak się domyśliłem, był Czechem. Przyznał, że słabo mówi po niemiecku. Ja też byłem już zmęczony gadaniną w tym języku, więc zwróciłem się do niego w mój tradycyjny sposób: chopie, jakieś Czech, to godej po czesku. Okazało się, że dwaj Czesi spędzili poprzednią noc w schronie samoobsługowym Uwe Anderle Biwak (1570), położonym pomiędzy szczytami Hochsengs (1838) i Gamskogel (1710), w głównym grzbiecie Sengengebirge. Tam nie ma wody, byli bardzo spragnieni. Szybko odkryli skrytkę z piwami i innymi napojami. W ciągu kilku godzin wypili kilkanaście piw. Rozmowa szybko się rozwinęła, tym bardziej, że w międzyczasie wrócili WuWu z Anią. Jeden z nich stwierdził, że pierwszy raz w Alpach spotkał Polaków. Oparowałem, że widocznie mało chodzi, bo ja często jestem w Alpach. W duszy przyznałem mu jednak rację. Po Alpach, a przynajmniej po ich wapiennej części, chodzi znacznie więcej Czechów niż Polaków. Okazało się, że oni byli już w wielu miejscach w Alpach. My z Witkiem odwołaliśmy się do wspomnień z gór z lat osiemdziesiątych i tu dopiero, z racji wieku, osiągnęliśmy zdecydowaną przewagę. Patrzyliśmy na oświetlone zachodzącym słońcem ściany Sengengebirge i powoli szykowaliśmy się do snu.

W nocy w kuchni zrobił się rumor. Okazało się, że około 1.00 do schroniska dotarł trzeci Czech, kumpel tamtych. Kiedy wstałem, Czesi zmęczeni piwem jeszcze smacznie spali. Odkryłem, że w kuchni na ścianie znajduje się sprawna gitara. Nadal utrzymywała się piękna pogoda, krowy w najlepsze grały swój koncert na dzwonki. Po śniadaniu pożegnaliśmy się z Czechami. Pieniądze za nocleg należy zostawić w specjalnej skrytce.

Podczas zejścia na parking spotkaliśmy kolejnych Czechów, idących do Feichtauhütte. Potem przemieszczaliśmy się do kolejnego schroniska Oberst Klinke Hütte, leżącego w Alpach Ennstalskich. Dwa lata wcześniej wraz z żoną spałem w tym schronisku. Witek bardzo chciał tam pojechać. W Trieben zjechaliśmy z autostrady i pojechaliśmy ostro w górę w stronę Admont. Na koniec jedzie się szutrową, płatną drogą na parking, znajdujący się sto metrów przed wspomnianym schroniskiem (1485). Gdy wysiedliśmy, od razu zauważyliśmy wystającą nad nim górę o piramidalnym kształcie – Kalbling (2196). Ania powiedziała, że ma lęk wysokości i jutro nigdzie nie idzie. Klinke Hütte jest schroniskiem z obsługą, dostaliśmy miejsca w tzw. lagrze, który okazał się pięćoosobowym pokojem.

Rano o siódmej zjedliśmy obfite śniadanie i w trójkę ruszyliśmy w stronę Kalbling. Szlak najpierw obchodzi tę górę. Jej ściany strome od południa, nadają się tylko do wspinaczki skalnej, od północy natomiast mają niemal połoninny charakter. Jednak w kilku miejscach osoby z lękiem wysokości nie przejdą. Ania doszła na Kalbling bez najmniejszych problemów. Później już tylko z Wuwu poszliśmy na sąsiedni szczyt Sparafeld (2248). Stamtąd wspaniale prezentuje się Admonter Reichenstein (2251), góra dostępna ze schroniska Mödlinger Hütte (trasa typu ferrata). Wszedłem jeszcze na trzecią górę Riffel (2107).

Następnego dnia zjechaliśmy samochodem do Admont. Zwiedziliśmy wspaniałe, benedyktyńskie opactwo, którego początki sięgają XI wieku. Do Rybnika dojechaliśmy około 17.00. Witek odwiózł mnie na dworzec. Przed 22.00 bezpośrednim pociągiem dojechałem do Poznania.

III ROTTENMANNER TAUERN

W drugim tygodniu września pojechałem z żoną w Alpy. Ze Swarzędza najbliższa trasa (ponad 750 km) prowadzi przez Lubawkę i Czechy. Za miejscowością Kolin zjechaliśmy z autostrady prowadzącej do Pragi i pojechaliśmy na południe, w



Admonter Reichenstein.

stronę Czechich Budziejowic. Na zwykłych i krętych drogach jechało się wolno, do tego padał deszcz.

W miejscowości Uhlířské Janovice zatrzymaliśmy się i zjedliśmy smaczny obiad w Restaurace u Myslivce. Nadal lało, ale teraz, jak nam się wydawało, dość szybko wjechaliśmy na autostradę prowadzącą w stronę Czechich Budziejowic. Zjechaliśmy z niej na węzle Soběslav i po kilkunastu minutach dotarliśmy do wioski Zálři, położonej wśród niewielkich stawów (rybników). Tamtejszy pensjonat oferował tani nocleg.

Następnego dnia po południu dotarliśmy do Rottenmann w środkowej Austrii. Zatrzymaliśmy się na parkingu, sto metrów powyżej tej miejscowości. Najedliśmy się, przebraliśmy się i ruszyliśmy pieszo w stronę schroniska Rottenmanner Hütte. Droga asfaltowa szybko zamieniła się w szutrową. Nieco wyżej pojawiły się śliczne widoki na Alpy Ennstalskie (Kalbling, Sparafeld, Admonter Reichenstein). Tego dnia było ciepło i słonecznie. Po półtorej godzinie doszliśmy do górnego parkingu, gdzie także można zostawić samochód. Dalej zaczyna się droga tylko dla turystów pieszych. Ponieważ już raz szedłem do Rottenmanner Hütte, powiedziałam żonie, że po drodze będziemy mijać posągi proroków i bóstw różnych religii. To ciekawy pomysł przedstawienia w ten sposób religii różnych ludów. Na koniec minęliśmy obudowane źródło, przeszliśmy przez pozabawioną już krów halę, potem był las i wreszcie doszliśmy do Rottenmanner Hütte (1651). Powoli szarzało. Zjedliśmy zupę i ulokowaliśmy się na drugim piętrze w lagrach. W naszym pokoju byliśmy sami. Jednak drugiej nocy spało z nami jeszcze trzech Czechów. Chrapanie jednego z nich nadawało się do jakiegoś filmu – horroru.

Przed ósmą zjedliśmy śniadanie. Niestety, za oknem siała kapuśniaczka. Mimo to góry były raz po raz widoczne, a prognozy zapowiadały poprawę pogody. Gdy około 10.00 przestało padać, ubraliśmy się i wyruszyliśmy w stronę leżącej bezpośrednio nad schroniskiem góry Stein an Mandl (2043). Zanim doszliśmy do jeziora Glubuckensee, rozpadało się ponownie. Wcześniej minęliśmy posągi kolejnych bóstw i proroków: słowiańskiego Światowida, hinduskiego Wisnu i Buddy. Rozpoczęło się podejście na przełęcz. W kilku miejscach droga zabezpieczona jest linkami i małą drabinką. Przestało padać, pojawiły się śliczne widoki na leżące poniżej, nieco podzielone chmury. Nad nimi raz po raz wystawały wymienione wcześniej szczyty Alp Ennstalskich. Pogoda była dynamiczna, ale bez deszczu. Na przełęczu weszliśmy w mgłę, którą czasami rozwiewało. Po dalszych 30 minutach weszliśmy na obły w kształcie wierzchołek Stein am Mandl. Na krótki czas pokazał się cały grzbiet, wznoszący się w stronę góry Hochhaide (2363), który trzy lata wcześniej przeszedłem. Po półgodzinnym pobycie na szczycie wracaliśmy tą samą drogą do schroniska. Podczas zejścia odsłonił się śliczny widok na oświetlony słońcem Grosser Pyhrgas.

Po 15.00 trochę popadało. Zjedliśmy posiłek w schronisku, a potem za oknem znowu pojawiły się ładne widoki. Przypomni mi się

refren piosenki: We wtorek w schronisku po sezonie... To był nasz koniec lata. W sobotę znowu była słoneczna pogoda. Wolno schodziliśmy do samochodu. W Rottenmann uzupełniliśmy zapasy i pojechaliśmy do Admont. Znowu zwiedziliśmy opactwo i ogród poklasztorny ze stawkiem i ślicznymi widokami na góry. Potem jechaliśmy w stronę Sankt Gallen, podziwiając strzeliste ściany Buchsteinu (2224) i Hochtora (2369). W Sankt Gallen i Losenstein obejrzelśmy ruiny średniowiecznych zamków.

Dopiero przed dwudziestą dotarliśmy do Zálši w Czechach. Odwiedziliśmy kościół w miejscowości Soběslav, weszliśmy na jego wysoką wieżę. Niestety, dalsza jazda przez Czechy w deszczu nie była przyjemna. Najgorzej było za miejscowości Jaromer, od której w stronę Lubawki nie ma już autostrady. GPS wskazał nam miejsce wypadku i duży korek na tej drodze. Objęźdzaliśmy go jakimiś bocznymi, wąskimi drogami, a do tego mocno łało. Dopiero w Lubawce wjechaliśmy na ekspresówkę. Teraz jazda stała się przyjemnością. Przed 21.00 byliśmy w domu.

W latach osiemdziesiątych zazdrościliśmy Czechom ich wspaniałych, jak nam się wówczas wydawało, dróg. Teraz jest dokładnie odwrotnie. A jak będzie za kolejnych czterdzieści lat? Tego już się nie dowiemy.

IV Schiferstein (1206)

Ostatni wyjazd miał miejsce jesienią. W połowie października dotarłem kilkoma pociągami do miejscowości Losenstein w Górnej Austrii. Następnie ruszyłem pieszo w stronę Anton Schosser Hütte (1156). Do schroniska prowadzą dwie trasy. Jedna biegnie w pobliżu drogi asfaltowej, która kończy się parkingiem. Stamtąd w ciągu 30 minut można dojść do celu. Wybrałem wariant bardziej górski i poszedłem przez wąwóz Klausgrabenbach, w którym potok tworzy urokliwe, kilkumetrowe kaskady. Była piękna pogoda, pojawił się ładny widok na stromy, zakończony skałkami, szczyt Schiferstein (1206).



Na Schiferstein.

Po raz kolejny przekonałem się, że austriacki sposób oznaczania szlaków nie zawsze jest czytelny. Oni w zasadzie używają tylko jednego znaku w kolorze flagi Austrii. Niekiedy na białym tle umieszczają numer szlaku. Na posiadanej przeze mnie mapie, a także w internecie widniał numer 31, tymczasem na znakach wpisano oznaczenie HD 5. To był mały problem, jednak w pewnym momencie szlak o takim numerze rozdawał się i biegł w dwóch różnych kierunkach. Spojrzałem na mapę i wybrałem wariant odchodzący w lewo, lecz wyprowadził mnie na manowce. Po 15 minutach zawróciłem i dopiero drugi wariant szlaku doprowadził mnie do celu.

Około 17.30 wszedłem do schroniska. Nieco wcześniej minąłem ostatnich turystów schodzących na parking. Austriacy w Anton Schosser Hütte przevažnie jedynie jedzą, czasami idą do skałki Hohe Dirn. Tylko w weekend schronisko zapełnia się ludźmi. Przez dwie noce byłem jedynym gościem. Zastąpiłem przyjaznych gospodarzy, smaczne jedzenie i pusty pokój z wygodnym legowiskiem. Następnego dnia chciałem wejść na górę Schiferstein. Oznaczało to ponowne zejście do Losenstein. Kiedy podzieliłem się moimi planami z zarządcą schroniska, ten powiedział, że jedzie samochodem do Reichraming i może mnie tam podrzucić.

Rankiem ruszyłem z Reichraming na Schiferstein. Zapowiadała się piękna pogoda, mgły snuły się po dolinach. Sam nie wiem, dlaczego wywołałem takie zainteresowanie wśród stada krów... Najpierw szedłem coraz węższą drogą asfaltową, później stromo przez las do grzbietu. Idąc nim,

minąłem skałkę Steinerner Jäger (1185). Dalej pozostało około 300 metrów przejścia po skalnym grzebieniu o szerokości metra. Na szczycie, na którym stoi mały krzyż, zastałem pewnego dziadka o... 5 lat starszego ode mnie. Szybko między dwoma dziadkami nawiązała się rozmowa na temat panoramy ze szczytu. Ustaliliśmy, gdzie znajduje się Anton Schosser Hütte. Na ostatnim planie widać było pasmo Sengsengebirge. W dole snuła się rzeka Enns.

Wracając, wszedłem na Steinerner Jäger – samotną skałkę opadającą kilkaset metrów w dolinę. Skałka i stojący na niej duży krzyż są doskonale widoczne z Losenstein. Dzięki zabezpieczeniu wejście na Steinerner Jäger nie sprawia trudności. Później przez las, a potem łąki ukwiecione goryczką (austriacką?) i przekwitającym zimowitem jesiennym zszedłem do Losenstein. Posiliłem się na ławeczce. Dalej czekało mnie przejście 800 metrów w górę do Anton Schosser Hütte. Pojawiłem się w nim przed 18.00. Zostawiłem plecak i pobiegłem w stronę skałki Hohe Dirn (1134) skąd zobaczyłem jeszcze resztki zachodzącego słońca. Na tle czerwonego nieba widać było m.in. Schoberstein (1185), Hochbuchberg (1273) a za nimi rysował się grzbiet Sengsengebirge. Było cicho, pięknie. Skałka Hohe Dirn kończy się kilkusetmetrowym urwiskiem. Po 20 minutach wróciłem do schroniska. Anton Schosser Hütte reklamuje się tym, że szczyt (Hohe Dirn) leży niżej od niego.

Następnego dnia zszedłem do Losenstein. Zaczął się powrót do domu. Do Poznania dotarłem o 1.20 w nocy.

Piotr „Alojz” Piwczyk

TO BĘDZIE

- * 7.04 godz. 18.00 Paskudne Śpiewanki.
- * 9.04. (czwartek) godz. 18.00 **Walne Zebranie w Auli E Wydziału AEiI Pol. Śl.**
- * 10–12.04 Kwadratlonu organizowany przez SKPB Lublin w chałupie w Zawadce Rymańskiej.
- * 11/12/18/19.04 w jeden z tych dni, w zależności od pogody, odbędzie się RKSR, czyli Rozpoczęcie Kołowego Sezonu Rowerowego. Tym razem pod wodzą WW pokonamy szlak pałaców Czeskiego Śląska.

BLACHOWANI 2026 cz. 1

452 – Jakub Krzemppek

Pochodzę z Wielkiego Księstwa Breńskiego – z Brennej, miejsca, które jest nie tylko najpiękniejsze na świecie, ale jest też niekwestionowanym centrum wszechświata, przynajmniej według najbardziej wiarygodnych (czyli miejscowych) źródeł.

Wychowałem się wśród beskidzkich lasów, wędrując po ścieżkach, jarach i potokach. Słuchałem opowieści o górach, które uczyły mnie życia bez mapy, życia bez pośpiechu. Dla mnie góry nigdy nie były sezonową atrakcją – były codziennością. To one mnie wychowały, pokazały, że najlepsze historie zaczynają się od wyjścia za próg domu.

Z czasem spojrzałem dalej. Ze szczytów Beskidu Breńskiego zaczęły majaczyć inne pasma karpackie, odległe, obce, a jednak kuszące. I wtedy narodziła się pasja, która nie zna granic – ciekawość, która pociągnęła mnie w świat nowych gór, nowych historii, nowych przygód. Pasja, która towarzyszyła mi podczas wędrowania najdłuższym szlakiem w polskich górach, która motywowała mnie niezależnie od tego, czy było to 3, 4 czy 5 tysięcy metrów nad poziomem morza, i która pcha mnie dalej ku nowym wyzwaniom, nie ważne, czy to Karpaty, Kaukaz, czy Kurs Przewodnicki.

A jednak, choć świat rośnie wokół mnie, Brenna pozostaje zawsze w centrum. To mój niezmienny kompas, mój dom, do którego wracam wzrokiem i sercem. To punkt odniesienia – początek, środek i koniec mojej mapy. Reszta świata to już tylko jej okolice.



453 – Łukasz Przybyła

Cześć, jestem Łukasz i opowiem Wam co nieco o sobie. Na co dzień zajmuję się rehabilitacją seniorów oraz prowadzę zajęcia dla studentów na katowickim AWF-ie. Pewnie nie zaskoczę nikogo, jeśli dodam, że uwielbiam wszelaki ruch. Góry, siłownia, rower, bieganie i cokolwiek Wam jeszcze przyjdzie na myśl, to mój żywioł. Dlatego też, więcej można mnie spotkać na Strawie niż na Instagramie. Moja głowa, to kopalnia pomysłów, w które potem angażuję przyjaciół i znajomych. I pewnie parę z nich spróbuję również zorganizować u nas w Kole.

454 – Przemek Tosza

Z zamiarem rozpoczęcia kursu przewodnickiego nosił się już od dłuższego czasu. W końcu podjął decyzję, żeby rozruszać swoje mięśnie i szare komórki i dołączył do grupy pod wezwaniem Harnasia. Na co dzień nosi białe barwy, ale jak na prawdziwego patriotę przystało, zamarzył też o czerwieni. Jest znany ze swojego zamiłowania do wędrówek i podróży wszelakich, bo przecież tak trudno usiedzieć w jednym miejscu. Nie wygrał miliona, dlatego ciągle poszukuje funduszy na swoje eskapady. Kocha jedzenie pod każdą postaćią, nieudolnie walczy z nałogiem słodczowym. Dobry stan ducha i ciała poza górskimi wyprawami zapewnia mu bieganie, gra w tenisa ziemnego i jazda na rowerze. Statyczne formy relaksu także nie są mu obce. Bujanie w hamaku czy gra na konsoli, to formy odpoczynku, które ceni szczególnie. Kurs przewodnicki wspomina jako okazję do poznania wielu ciekawych ludzi. To tutaj spotkał druha, z którym przeszedł wspólnie Główny Szlak Beskidzki oraz kompanów, którzy im w tym przejściu towarzyszyli. Dzięki kursowi rozwinął swoje zdolności kulinarne, przesunął granice wytrzymałości i zwiększył pewność siebie. Czego chce więcej? Zdecydowanie ENERGII na następne lata, aby móc kontynuować tę niesamowitą PRZYGODĘ!

455 – Kasia Sęk

Cześć, jestem Kasia. Na kurs przewodnika beskidzkiego zapisałam się po to, żeby zacząć chodzić po górach. Czy wiąże z tym moja przyszłość? Tego jeszcze nie wiem – czas pokaże. Jedno jest pewne: warto było spróbować. Ciekawe miejsca, inspirujący ludzie, wspaniałe krajobrazy i niezapomniane panoramy.

Co mnie najbardziej urzekło? Torfowiska. Ten pierwszy kontakt z nimi – moment, w którym można było niespodziewanie zapaść się po pół łydki, nie wspominając już o gubieniu kłapek – był naprawdę wyjątkowy.

Niesamowite jest to, że kurs to nie tylko góry, ale też wiele pobocznych zagadnień. Na przykład pierwsza pomoc, podczas której dowiedziałam się, jak reagować, gdy ktoś dostanie ataku epilepsji. Realistyczne symulacje i ćwiczenia pozwoliły mi poćwiczyć tę wiedzę w praktyce. Do tego dochodzą umiejętności radzenia sobie w trudnych warunkach i tworzenia bezpiecznego schronienia zimą, choćby poprzez wykopanie jamy w śniegu. Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że kurs pomaga również oswoić strach.

Cieszę się, że mogłam wziąć udział w tej niezwykłej przygodzie, nawet jeśli sam kurs dobiega już końca. Przygoda z górami na pewno będzie trwała dalej — przede mną kolejne szlaki, nowe miejsca i następne doświadczenia. I właśnie to cieszy mnie najbardziej.



456 – Marysia Samborska

Cześć, jestem Marysia i zabiorę Cię w góry!

Na kurs przyszedłam, bo wiedziałam, że chcę pracować jako Przewodnik Górski. To nastawienie pomogło mi pokonać wszelkie kryzysy i zdać egzamin wewnętrzny. Kurs pokazał mi inną stronę gór. Mogłam poznać miejsca, w które sama bym nie trafiła, zobaczyłam nie tylko piękne widoki, ale też swoje mocne i słabe strony. Wiem, nad czym jeszcze muszę pracować, ale też widzę, jaką drogę przeszedłam. Nie tylko merytoryczną. Kocham góry, uwielbiam spędzać czas na szlaku. Przed kursem chodziłam marsze długodystansowe, pokonując wiele kilometrów w dobę. Teraz potrafię zrobić krótką trasę w długim czasie i się nią cieszyć inaczej. Potrafię się zatrzymać i być tu i teraz. Teraz idę szlakiem, są widoki, cieszę się, że mogę stanąć i sama dla siebie zrobić panoramkę! Wiem, na co patrzę, a jak nie wiem, to wyciągam mapę i sprawdzam. Pewnie tak już zostanie, ale lubię to!

Chcę dzielić się swoją radością, górską pasją z innymi. Trzymajcie kciuki za egzamin państwowy! A potem? A potem zapraszam na wspólne wędrowanie.



cdn.

TO BYŁO

- ✓ 28.02–1.03 Blachowanie kursu 2024/26 w Ośrodku Wypoczynkowo-Szkoleniowym „Pod Kamiennikiem” w Porębie k. Myślenic.
- ✓ 4.03 rozpoczął się nowy kurs SKPG Harnasie. W weekend 7–8.03 odbył się pierwszy wyjazd nowego kursu w Beskidzie Żywieckim z noclegiem w Danielce. Było ok. 40 osób (łącznie z prowadzącymi).
- ✓ 12.03 zebranie w Domu Modlitwy Mizrachi w Będzinie połączone ze zwiedzaniem Będzina. Było 18 osób.
- ✓ 21–22.03 „Rajd na powitanie wiosny” z zakończeniem w chatce pod Potrójną.
- ✓ 26.03 zebranie w Czeskiej Gospodzie w Katowicach. Było 8 osób.
- ✓ SKPG „Harnasie” zostało wyróżnione statuetką „Zębątki” Politechniki Śl. w kategorii najaktywniejsza organizacja studencka!